

# Opowiadania o psach

Na psa!  
urok!

Polscy  
psiarze  
dla dzieciom





# Na psa urok!

## Opowiadania o psach Polscy pisarze dzieciom

© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Mikołaj Kamler

Ilustracje: Zuzanna Orlińska (3-108)

Małgorzata Flis (109-225)

Korekta i skład:

Lidia Kowalczyk, Aleksandra Różanek

**Wydanie I**

**ISBN 978-83-7672-402-7**

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2015

91-334 Łódź, ul. Srebrna 41

handlowy@wyd-literatura.com.pl

tel. (42) 630 23 81

faks (42) 632 30 24

www.wyd-literatura.com.pl



Agnieszka Frączek

## Wyjątek

*ilustrowała*

*Zuzanna Orlińska*



– Ale on nie ma ani jednej łaty! – zawyła Kaśka. – I to ma być dalmatyńczyk?!

Spojrzałem wymownie na rodziców i wymamrotałem:

– Wiedziałem, że tak będzie...

Bo moja siostra, odkąd pamiętam, marzyła o dalmatyńczyku – koniecznie takim, który miałby łatki na uszach. I na nosie. I na ogonie!

To właśnie na łaciatym ogonie Kaśce zależało najbardziej. Usłyszała kiedyś, że dalmatyńczyki, choć całe są w łaty, to akurat ogony mają zwykle białe. I ubzdurała sobie, że JEJ pies będzie WYJĄTKOWY. Będzie miał na ogonie tyle łat, że aż ten ogon stanie się prawie – ale tylko prawie – czarny. Trajkotała o tym w kółko, a co gorsza – obklejała ściany naszego pokoju podobiznami psich ogonów. Łaciatych, ma się rozumieć. Na szczęście nie zapominała o dorysowaniu do nich całej łaciatej reszty.

Tak jakby prawie czarny ogon merdał weselej! – myślałem, zerkając na łaciate ściany. – A zresztą, w ciapki czy nie, co to za różnica? Przecież rodzice i tak nigdy się nie zgodzą na psa...

Okazało się jednak, że nie doceniłem Kaśki. Tak długo i uparcie wierciła rodzicom w brzuchach dziurę po dziurze, aż wreszcie skapitulowali. Oczywiście, nie obyło się bez długich wykładów o odpowiedzialności, spacerach, porządku i wszystkich tych nudnych sprawach. Ale kiedy mieliśmy to wreszcie za sobą, przyszła pora na najprzyjemniejsze: wybór psa!

Mamie marzył się york, taki maluch, którego można by wsadzić do damskiej torebki i wziąć ze sobą na zakupy.

– Co to, to nie! – tacie ten pomysł zupełnie nie przypadł do gustu. – Skoro już decydujemy się na psa, to niech to będzie PRAWDZIWY pies. Może owczarek? Albo wyżeł? Albo husky? Mój kolega ma takiego psa, nazywa się Torpeda, zimą moglibyśmy razem urządzać wyścigi zaprzęgów i...

– O nie... – jęknęła mama. Chyba przestraszyły ją snute przez tatę wizje, bo szukała ratunku u mnie i u Kaśki: – A co wy na to?

– Ja to bym... – zacząłem, ale Kaśka nie byłaby sobą, gdyby mi jak zwykle nie przerwała:

– Dalmatyńczyka z łaciatym ogonem! – zawołała.

No jasne...



Wybór padł na hodowlę o wdzięcznej nazwie „Raj Eugonii”. Najpierw, tłocząc się przed laptopem taty, oglądaliśmy zdjęcia łaciatych szczeniąt. Łaciate szczenięta na kocyku, łaciate szczenięta na trawce, łaciate szczenięta na dywanie, łaciate... Kiedy obejrzelismy już wszystko po sto razy, tata zatrzasnął laptopa i wymruczał, zerkając na mamę:

– No to co...? Do dzieła?

Potem sięgnął po telefon i zadzwonił do pani Eugonii – jak się okazało, hodowla dostała imię po jej właścicielce – i długo, bardzo długo słuchał opowieści o szczeniętach i ich rodzicach.

A my w napięciu obserwowaliśmy tatę i przysłuchiwaliśmy się temu, co od czasu do czasu udało mu się wtrącić:

– Mhm! Został już tylko jeden? Aha, wyjątkowy, mówi pani? O! Naprawdę? Świetnie! Oczywiście, będziemy. Tak, tak, w sobotę. Z samego rana! – wreszcie tata się pożegnał i odłożył słuchawkę.

Hurra! W sobotę jedziemy po psa!



Nie mogliśmy się tej soboty doczekać. Ale już w czwartek Kaśka wyglądała, jak to mówi mama, niewyraźnie. A w piątek wszystko stało się jasne: znowu angina!

Po burzliwej naradzie (Jechać? Nie jechać? Przełożyć wyjazd na kolejny weekend?) podjęliśmy decyzję: Kaśka razem

ze swoją anginą i z panią Stasią, naszą sąsiadką, zostaną w domu, a my pojedziemy po szczeniaka.

Do Raju Eugenii mieliśmy niedaleko. Kilkanaście minut w samochodzie i już wysiadaliśmy pod domem z czerwonej cegły. Gospodyni musiała na nas czekać w oknie, bo zanim zdążyliśmy zadzwonić do furtki, zgrzytnęły drzwi i w naszą stronę podreptała dostojna suka, od nosa aż po koniec ogona upstrzona czarnymi plamkami. A za nią, w szpilkach i kapeluszu, nadciągała równie dostojna, choć niczym nie upstrzona właścicielka:

– Aha! – huknęła na nasz widok. – To państwo!

– Tak, to my – zaczął tata. – Dzień dob...

Ale pani Eugenia nie zamierzała zawracać sobie głowy powitaniem.

– Oczywiście wiecie państwo, że on jest wyjątkowy – bardziej stwierdziła niż zapytała i poprowadziła nas żwirową ścieżką w stronę domu.

– Wy!-ją!-ko!-wy! – skandowała, wspinając się po schodach na taras, a każdą sylabę podkreślała nieznoszącym sprzeciwu stuknięciem obcasa.

– Wyjątkowy! – przekonywała, krocząc długim korytarzem.

– Wyjątkowo wyjątkowy! – powtarzała, wskazując nam miejsca przy wielkim, okrągłym stole.

– To są państwo zdecydowani, tak? – zapytała, gdy usiedliśmy.

– No... ale... – jękali się rodzice.

– Jakie „ale”?! – ofuknęła ich pani Eugenia. – Tu nie może być żadnego „ale”! Absolutnie żadnego! – A potem dodała: – Takiego psa ze świecą szukać! Czy mówiłam już, że on jest...

– Wyjątkowy – podpowiedzieli rodzice.

– Właśnie – zgodziła się uprzejmie pani Eugenia, lekko już udobruchana. – Sami państwo widzą. Więc jak? Bierzecie?

– No...

– Skoro tak...

– Bierzemy – przytaknęli w końcu rodzice.

Przytaknęli, chociaż widziałem – znam ich przecież od dziecka! – że są ogromnie zdziwieni. No bo jak to tak – nie powinniśmy najpierw zobaczyć szczeniaka? Przywitać się z nim? Pogłaskać? Poczęstować przysmakami, którymi wszyscy mieliśmy wypchane kieszenie?

Ale trudno. W końcu przyjechaliśmy tu po psa, prawda? Więc tak, bierzemy go! Chciałem to powiedzieć głośno, ale pani Eugenia wcale nie czekała na moją zgodę.

– Jeremi, wypuść szczeniaka! – zaordynowała i zaraz usłyszeliśmy, jak gdzieś w głębi domu tajemniczy Jeremi bez słowa otwiera drzwi. Zgrzytnęła kłamka, a po chwili między naszymi nogami przeleciało bielusieńkie szczenię. Przeleciało i, nie zwracając sobie głowy powitaniem (to jest zaraźliwe czy co?!), od razu ukryło się pod stołem.

Zaraz... Zaraz, zaraz. Czy ono naprawdę było białe? Całkiem, zupełnie, idealnie białe?! Nie, to niemożliwe. Musiało mi się coś pomieszać! – pomyślałem. Na wszelki wypadek dałem jednak nura pod stół, by dokładnie przyjrzeć się szczeniakowi.

– Ale numer... Ty jesteś biały! – wyszeptałem po szybkich oględzinach.

Merd! – potwierdził pies białym ogonem.

– Całkiem, zupełnie, idealnie biały! – nie dowierzałem.

Merd, merd, merd! – zgodził się pies radośnie.

Na górze też już zauważono, że szczeniak wygląda – w każdym razie jak na dalmatyńczyka – hm... trochę nietypowo.

– A... cętki? – wybąkał tata.

– A plamki? – poparła tatę mama.

– A łaty?! – zawołałem spod stołu ja.





– Nie wyszły – odparła spokojnie pani Eugenia. Niemal SŁYSZAŁEM, jak odpowiadając, niecierpliwie wzrusza ramionami.

– N... nie... nie wyszły? – dobiegł mnie głos taty.

– Jak to nie wyszły? – chciała wiedzieć mama.

SAP! – pani Eugenia sapnęła, wyraźnie rozzłoszczona.

– Dalmatyńczyki rodzą się białe, tak? – zapytała tonem mojej nauczycielki od WDŻ.

– No... tak – potwierdzili rodzice.

– A jak mają dwa tygodnie, to zaczynają im wychodzić cętki, tak?

– Tak...? – niepewnie odparli rodzice.

– No to jemu właśnie nie wyszły. Taki WYJĄTEK, tak?

– T... tak... – z rozpędu powtórzył tata.

Za to mama, która zawsze mówi to, co myśli (i często tego potem żałuje), zapytała po prostu:

– A to w ogóle jest dalmatyńczyk?

– No wie pani! – prychnęła pani Eugenia. Potem wydała z siebie jeszcze trzy coraz wścieklejsze: PRYCH! PRYCH!! PRYCH!!! – i na górze zrobiło się cicho.

A ja wciąż siedziałem pod stołem. Albo raczej: siedzieliśmy, bo przecież było nas tam dwóch. Ja i pies. Pies wprawdzie się nie zmienił: nadal był biały – całkiem, zupełnie, idealnie biały – i w ogóle nie bardzo przypominał dalmatyńczyka, ale za to był chyba dość bystry. Obwąchał mnie z wprawą, jakiej można by się spodziewać raczej po

dorosłym psie myśliwskim niż po takim maluchu nie wiadomo jakiej rasy, obrzucił szybkim spojrzeniem – i to mu wystarczyło. Pojął w lot, że z kimś takim jak ja będzie się mógł dogadać (no mowa!). W dowód uznania wsadził więc nos pod dywan i wyciągnął ukrytą tam skarpetkę – męską, pasiastą i zdecydowanie używaną – a potem, niezwykle zadowolony z siebie, położył mi ją na kolanie.

– A fuj! – krzyknąłem z obrzydzeniem.

Ale zaraz zapomniałem o skarpetce, bo w tej samej chwili, w której usłyszałem własny głos wygłaszający tę (jak się potem okazało, odrobinę nietaktowną) uwagę, zdałem sobie sprawę, że nad nami nadal panuje złowroga cisza.

– Wylazimy! – rzuciłem.

Pies chwycił skarpetkę i ramię w ramię wypelzliśmy spod stołu.

Widok, jaki zastaliśmy na górze, nie wróżył nic dobrego. Rodzice zerkali na siebie, wciąż niepewni, co robić, a spod kapelusza pani Eugenii sypały się wściekle iskry.

Musiałem więc wziąć sprawy w swoje ręce.

– Kaśka czeka – przypomniałem krótko i, żeby wszystko było jasne, przypiąłem psu smycz.

A kiedy wreszcie opuściliśmy Raj Eugenii, odetchnąłem z ulgą. Uff...



**D**opiero w samochodzie zacząłem się martwić. Wiadomo: mnie było wszystko jedno, jak będzie wyglądał nasz pies. Najważniejsze, że w ogóle będziemy mieć psa! Gdyby podczas tamtej narady rodzinnej dopuścili mnie do głosu, zaproponowałbym wyprawę do schroniska po jakiegoś rozbrykanego kundla. Ale Kaśka... ona przecież czeka tam, razem z anginą, na ten swój wyjątkowy łaciaty ogon!

– Jak Kaśka zobaczy, że on nie ma ani jednej łaty, ten cały WYJĄTKOWY dalmatyńczyk, to da nam popalić... – podzieliłem się z rodzicami swoimi obawami.

I, oczywiście, miałem rację...

– Ale on nie ma ani jednej łaty! – zawyła Kaśka. – I to ma być dalmatyńczyk?!

Spojrzałem wymownie na rodziców i wymamrotałem:

– Wiedziałem, że tak będzie... – A potem dodałem głośno: – Ma za to skarpetkę. W paski. Przywłókł ją tu specjalnie dla ciebie – zmyśliłem, sprytnie odstępując Kaśce prawa do psiego trofeum. Czego się nie robi dla siostry z anginą!

– Naprawdę...? Dla mnie? – nie dowierzała Kaśka.

– Dla ciebie – potwierdziłem. – To co, strzelasz tego focha czy tym razem sobie odpuszczisz?

Zamiast odpowiedzi usłyszeliśmy tylko świst przecinanego powietrza i zobaczyliśmy, jak biały ogon znika za kanapą.

– Co mu się stało? Co to było? – zapytały równocześnie mama i Kasia.

– Chyba się czegoś przestraszył... – domyślił się tata.

I wtedy mnie olśniło:

– No jasne! Przecież pani Eugenia mówiła, że on się boi strzałów!

– Czego? – nie rozumiała moja siostra.

– Jakich strzałów? – nie rozumiał tata.

– Ale tu nikt nie strzelał – nie rozumiała mama.

– A Kaśka?

– Kaśka?!

Ech, ci rodzice...

– Tak, Kaśka – tłumaczyłem. – Kaśka strzelała. Fochy.

Rodzice zerknęli na mnie ze zdumieniem.

– Chcesz powiedzieć, że on to rozumiał? Że rozumiał SŁOWO „strzelać”?

– No pewnie, że rozumiał! W końcu jest wyjątkowy, prawda?

Ale tamtego dnia rodzice jeszcze w to nie uwierzyli...  
JESZCZE.

– Jasiu... Pies rozumie pewne gesty, zgoda. Wyczuwa nastroje – rozpoczął wykład tata.

Bo tata kilka dni wcześniej wrócił do domu z teczką wypchaną książkami o psach. A potem wszystkie te książki, co do jednej, przeczytał. Sam widziałem!

Założę się jednak, że żadna z nich nie mówiła o dalmatyńczyku bez łąt...

– Może nawet za jakiś czas – kontynuował tata – nasz pies nauczy się kilku prostych komend. Ale żaden pies nie rozumie

**SŁÓW.** Szybko zacznie przybiegać w podskokach, kiedy zawołasz: „Chodź na spacer”, nie zareaguje jednak, jeśli powiesz: „Zapraszam na przechadzkę”. Bo musisz wiedzieć, że psy...

I tak w kółko. Tata mówił i mówił, ale ja i tak wiedziałem swoje. On rozumiał! A wkrótce zrozumiał także i tata...



**W**szystko dzięki kapciom. Albo raczej: pantoflom, bo mama, nie wiedząc czemu, o swoich zielonych kapciach z potarganymi pomponami wyrażała się zawsze niezwykle elegancko. Pies przeciwnie: traktował kapcie mamy niezwykle nieelegancko – uwielbiał je tarosić, podrzucać i przeżuwać pompony.

– Jak nie zostawisz tych kapci – zagroził mu kiedyś tata – to ci mama głowę zmyje!

A pies, o dziwo, posłuchał! Natychmiast wypuścił z pyska przeżuwany właśnie lewy kapeć i pędem pobiegł do łazienki. Tam wskoczył zgrabnie do wanny i... czekał. Na co? Na spełnienie obietnicy, oczywiście! Bo nasz pies uwielbiał kąpiele. Wiedzieliśmy o tym od niedawna – odkąd kilka dni temu łobuz wytaplał się w błocie. Nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy go wrzucić do wanny i porządnie umyć. A jemu tak się to spodobało, że teraz w łazience zamykamy się przed nim na klucz. Inaczej gotów byłby bez pytania wskoczyć do każdej kąpieli z pianą!